



O potrzebie dalszego wydawania „Sztuki Edycji” (gorzkie uwagi z okazji radosnego dziesięciolecia istnienia czasopisma)

Dziwne to czasy nastały w naukach humanistycznych, gdy o jej pożytkach, walorach, osiągnięciach czy odkryciach wiele mówiących o prawdziwej kondycji człowieka decydują punkty lub algorytmy wprowadzane przez urzędników, często uczonych urzędników, którym wydaje się, że znają się na wszystkim. Na własny użytek, mimo filologicznej profesji, interesuję się kosmologią i fizyką teoretyczną, choć nigdy nie opublikuję eseju na temat teorii kwantowej lub teorii strun, nie będę też decydować o czymkolwiek w ocenach wyników tychże nauk, albowiem nie mam w tej dziedzinie żadnych kompetencji, a z racji hobbystycznych zainteresowań bynajmniej nie wynika konieczność drukowania amatorskich enuncjacji (*vide*: logika formalna). Tymczasem o punktach przydzielanych za publikację w czasopismach naukowych, co wymiennie

przekłada się na tzw. ewaluację dyscyplin oraz uczelni, decydują gremia lub pojedyncze osoby, które w dobrej wierze (choć nieraz w to powątpiewam) próbują dookreślić standardy uprawiania nauk humanistycznych, szukając możliwie wymiernych i możliwie obiektywnych kryteriów, nie znając się na istocie przedmiotu ocenianego, myśląc nierzadko humanistykę z naukami społecznymi i przyrodniczymi, czego rezultatem są punktowe konstrukty wyobrażone, a nie rzeczywiste, liczby urojone – chciałoby się rzec. Nigdy nie będę oceniał przedstawiciela tych dziedzin naukowych, na których się zwyczajnie nie znam, nie oceniam książek lub prac habilitacyjnych tudzież dorobku profesorskiego nawet w swojej dziedzinie nauk filologicznych, jeśli nie mam odpowiedniego ku temu przygotowania merytorycznego (czytaj: brak wiedzy!). Takiego postępowania nauczyło mnie dawne pokolenie profesorów, z którymi czuję związek nie tyle sentymentalny, ile intelektualny. Niestety zdarzyło mi się zasiadać w tzw. gremiach eksperckich i być świadkiem farsowych sytuacji, w których uczony „ekspert” znający się na regionalnych zabytkach sakralnych wypowiada się ze znanstwem na temat poezji, o czym nie ma żadnego pojęcia nawet jako czytelnik, co można było łatwo stwierdzić po jego publicznych diatribach, zaś inny znawca sztuki performatywnej deprecjonuje projekt edytorski, bo uważa go za... niezrozumiały. Także jestem oceniany często przez podobnie „kompetentne” osoby, nieznające się na specyfice i przedmiocie mojej pracy. Wiem, że te spostrzeżenia podziela wielu humanistów. I żadna polityka nie ma z tym nic wspólnego. Bez względu na to, czy się ceni takiego czy innego ministra, czy też nie – jakże często o wystawianiu not punktowych decydują u nas konteksty towarzyskie, niefrasobliwość, eksperckie zadufanie w sobie (bo z czymś takim można się też spotkać) i kuriozalny brak wiedzy o dziedzinie (przedmiocie, projekcie), którą się ocenia. W publicznych dyskusjach zapominamy często o tych ważkich, jak sądzę, psychologicznych i frustracyjnych elementach „punktozy” i „grantozy” jako zjawiskach w dużym stopniu determinujących pozorną tylko wymierność oceniania w humanistyce.

„Sztuka Edycji” jako pierwsze i jedyne polskie czasopismo naukowe w całości poświęcone zagadnieniom fundamentalnym dla filologii oceniona jest nisko, choć spełnia większość kryteriów „punktozowych”. Zapewne dwukolumnowy układ treści, specyficzny skład komputerowy, staranna redakcja i korekta tekstowa oraz bogaty kolaż ilustracyjny, oryginalny layout nieodbiegający poziomem od nowoczesnych czasopism europejskich – przeszkadzają niektórym „oceniaczom”, nadto trudna problematyka, przez którą nie łatwo się przekopać, zdecydowanie zniechęca do zajęcia się treściami publikowanymi. Na marginesie zauważmy, że współczesne literaturoznawstwo często zatracza kontakt z tradycją nowożytną (renesansową) filologii, której podstawowy zakres wyznaczały sztuka krytyki tekstu (tekstologia), sztuka poprawnego wydawania (edytorstwo) i sztuka rozumienia (hermeneutyka). Dopiero na tym fundamencie powinna pojawiać się sztuka interpretacji, wskazująca możliwe ścieżki odczytywania dzieła. W owym tradycyjnym układzie interpretacja zawsze była bliska dziełu, współgrała z nim na wszystkich planach, wpływała z bogactwa tekstowych znaczeń i odniesień. Dziś te proporcje uległy zachwianiu, co prowadzi do wielu wynaturzeń i schorzeń filologicznych włącznie z tym głównym: brakiem refleksji nad sytuacją podstawy tekstowej, z której interpretator korzysta w swoich konceptualizacjach. „Sztuka Edycji” stawia m.in. na prezentację tych właśnie podstawowych zagadnień, ale w formie nowoczesnej i w możliwie oryginalnej szacie graficznej. Komu to przeszkadza? Tym, którzy nad jakością publikowanych treści w humanistyce przedkładają własne, subiektywne wizje przesłaniające właściwy obraz ocenianego przedmiotu (książki, projektu badawczego, czasopisma, wydawnictwa), pozornie tylko

wspomagając się, a raczej kryjąc za kryteriami wypracowanymi wcześniej w pocie urzędniczego czoła. Dopóki w humanistyce na nowo nie zagości **ocena jakości prac**, a będzie pokutować taki czy inny model algebraiczny lub algorytmiczny (co zresztą na jedno wychodzi), dopóty humanistyka będzie spychana na margines nauki. Czym zaś kończy się marginalizowanie refleksji o człowieku – o tym historycy wiedzą najlepiej.

Nie poddamy się. To pewne. Dziękujemy za wiele pięknych sygnałów środowiskowego wsparcia. Wiemy, jak ważną funkcję spełniamy wśród młodych adeptów literaturoznawstwa i nauk pokrewnych i że internetowa wersja „Sztuki Edycji” w czasach pandemii była często jedynym ratunkiem dla dydaktyków z wielu uczelni, gdzie funkcjonują specjalizacje edytorskie. W filologii (i nie tylko) jest tak, że pozostają po latach prace najlepsze, te często są cytowane, stanowiąc punkt odniesienia dla następnych refleksji. **To nasz jakościowy kierunek.** I nikt z amatorów łatwego wystawiania punktów nie jest w stanie tego zmienić.

*Założyciel „Sztuki Edycji” i Przewodniczący Rady Naukowej
Miroslaw Strzyżewski*